

22.5. Stanisław Olędzki, Wykonawcy i wirtuozi

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY „KONTRASTY” nr 4/76

Dwa koncerty symfoniczne, jeden kameralny i jeden recital – to plon ostatnich dni stycznia i lutego w muzycznym życiu Białegostoku. Recenzent nie może uskarżać się na przepracowanie, melomani na przesyty.

Pierwszy wieczór symfoniczny, interesująco zakomponowany z dwóch tylko utworów, prowadził Roman Zieliński, a jako solistka wystąpiła Holenderka polskiego (ponoć) pochodzenia – Tamara Pospiszyl. Jej interpretacja *Koncertu fortepianowego a-moll* Griega, najpopularniejszego chyba i wielokrotnie wykonywanego na białostockiej estradzie, pozwalała wątpić w często wyznawaną zasadę, iż import z zachodu implikuje wysoką jakość produkcji. Tamara Pospiszyl grała oschle, bez uchwytnej koncepcji formalno-wyrazowej, nie będąc w stanie – zwłaszcza w pierwszej części utworu – ewokować swym wykonaniem tkwiących w romantycznej muzyce Griega warstw głębokiego liryzmu, spowitego nutą subtelnej „północnej” melancholii. Rażące potknięcia techniczne jej gry w nietrudnych przecież fragmentach, jak np. w akordowo-oktawowym wstępie, czy drugiej i trzeciej części *Koncertu* dowiodły wyraźnie, iż nie ma potrzeby sprowadzania do Białegostoku drugorzędnych, aczkolwiek zagranicznych solistów.

Druga pozycja wieczoru – Sergiusza Rachmaninowa *II Symfonia e-moll* jest muzyką piękną i wartą popularyzacji, ale zdradliwą, pełna pułapek niebezpiecznych dla dyrygentów i orkiestr mniej doświadczonych. Wprawdzie zespół Filharmonii Białostockiej, dzięki intuicji artystycznej dyrygenta, Romana Zielińskiego, zdołał w sporej części uniknąć monotonii, jednakże do obszernych fragmentów *Symfonii* nie potrafił znaleźć odpowiedniego klucza. Zabrakło przede wszystkim umiejętności niuansowania dynamiki i przemyślanych rozwiązań plastyki brzmienia orkiestry początkowej części pierwszej i w *Adagio*, precyzji smyczków w *Allegro molto*, a ogólnie – dokładności intonacyjnej w całości utworu. Kiedyś to mnie tylko niepokoiło, dzisiaj przeraża. Pisałem o brakach z nadzieją, że zostaną wyrównane, o błędach, iż zostaną z czasem wykorzenione. Sądziłem, iż Filharmonię stać na to. Na półmetku sezonu obserwuję znaczne obniżenie poziomu orkiestry i – co gorsza: utrzymywanie się tendencji spadkowej, która w najbliższym czasie doprowadzić może do stanu krytycznego. Wówczas po Filharmonii zostanie jedynie nazwa.

Ze stanu muzycznego marazmu wyrwały nas w lutym dwa wydarzenia: występy Lidii Grychtołówny i Orkiestry Kameralnej Państwowego Konserwatorium Moskiewskiego. Znakomita polska pianistka 12. lutego dała recital w Ratuszu, a nazajutrz wykonała dwa koncerty fortepianowe – *A-dur* Mozarta i *Es-dur* Beethovena – z towarzyszeniem orkiestry filharmonicznej. Recital wypełniły kompozycje Schuberta, Schumanna, Chopina, Rachmaninowa, Skriabina, a ów romantyczny i ekspresjonistyczny repertuar wzbogaciły trzy utwory z cyklu *Cirandes* Villi-Lobosa, brazylijskiego kompozytora, zmarłego w roku 1959. Szczęśliwie się złożyło, że ta polska artystka, znana szeroko w świecie, zawitała i do Białegostoku. Niefortunne wszakże okazało się zorganizowanie recitalu w Muzeum i nie wystarczająca informacja, wiele bowiem miejsc w niewielkiej salce świeciło pustkami. Niska frekwencja (zaledwie 50%) na koncercie symfonicznym była już mniej zrozumiała. Wielka szkoda, bo Lidia Grych-

tołówna, zarówno w recitalu jako i w obu koncertach fortepianowych, potwierdziła swą grą, że zasługuje na superlatywy, jakimi ja obsypują najsurowsi nawet krytycy. Jednym zdaniem – jest to gra nieskazitelna, głęboko emocjonalna w repertuarze romantycznym, lecz klasycznie zdyscyplinowana, wszelako nie bez pewnej dozy rozmarzenia w Schubercie (owe „unendliche Längen”) i mozaikowego typu ekspresji, kapryśności w *Karnawale* Schumanna. Natomiast klasyczny program wykonuje z niespotykaną kulturą, stylistyczną wiernością, pełnym zrozumieniem intencji kompozytora, słowem – idealnie. Gdy dodamy do tego wręcz „pływową” niezawodność i wirtuozowski temperament (finał *Koncertu Es-dur* Beethovena), dopełni się konterfekt sztuki wykonawczej Lidii Grychtołówny. Orkiestra pod dykcją Romana Zielińskiego nie był w stanie dorównać poziomem swej gry solistce, ale w Beethovenie kilkakrotnie doszło do pełnej symbiozy gry pianistki i symfoników.

Nie mniejszą satysfakcję od gry Grychtołówny sprawił słuchaczom koncert Orkiestry Kameralnej Państwowego Konserwatorium Moskiewskiego (25. lutego). Studenci z Moskwy dali dobrą, praktyczną lekcję białostockim filharmonikom, lekcję prawdziwego, spontanicznego i precyzyjnego muzykowania, wskazując im zarazem drogę wyjścia z impasu poprzez barokowo-klasyczną „dię”. W pierwszej, bachowskiej połowie występu (*III Koncert brandenburski, Aria z Suity II orkiestrowej D-dur, Koncert skrzypcowy E-dur*) moskwiczanie za imponowali przede wszystkim kulturą dźwięku, dźwięku miękkiego, pełnego, oraz wielką wrażliwością (kapitałna *Aria* i *Adagio Koncertu skrzypcowego*). To co zaprezentowała w *Koncertie wiolonczelowym* Boccheriniego Tatiana Dichtiar – na długo utrwali się w pamięci licznie tym razem zgromadzonych i łaknących porządnej muzyki melomanów. Wiolonczelistki tej klasy, z tak arcymuzykalnym wyczuciem frazy i taką łatwością techniczną, zapewne długo jeszcze nie usłyszymy. Pani Tatianie wróżyć można wspaniałą przyszłość. Ale tak gra się w konserwatoriach radzieckich.

Wspomniany koncert muzyki rozrywkowej (20. lutego) pod dyr. Stefana Rachonia opuściłem w przerwie tuż przed red. Jackiem Grünem. Do jego recenzji („Gazeta Współczesna” z 26. lutego) dorzucę jedynie uwagę, że Straussów orkiestry filharmoniczne grają równie starannie jak Mozarta, Beethovena, i wówczas muzyka tzw. lekka wartościami estetycznymi nie ustępuje muzyce tzw. poważnej. Skoro jednak Mozarta traktuje się w Białymstoku nie dość poważnie, to czego można spodziewa się po wykonaniu muzyki lekkiej?

Z kronikarskiego obowiązku ale i z przyjemnością wypada mi odnotować udany występ Zespołu Pieśni i Tańca Białostoczczyzny „Kurpie Zielone” (22. lutego, w Sali Teatru im. Al. Węgieerki). Efektowne układy choreograficzne i sprawna reżyseria Wiesława Dąbrowskiego, wsparte kapelą prowadzoną przez Jerzego Śródkowskiego, złożyły się na niewątpliwy sukces tego barwnego widowiska. I chociaż jestem zwolennikiem prezentowania muzycznego folkloru *in crudo*, z niedzielnego koncertu „Kurpi Zielonych” wychodziłem usatysfakcjonowany. Takiego zapału, świeżości, dynamiki artystycznego działania na próżno by szukać w koncertach profesjonalistów. Panowie filharmonicy, grający zresztą w kapeli Zespołu, popatrzenie czasem na amatorów śpiewających i tańczących w strojach ludowych.

Stanisław Ołędzki